



Maty TYGODNIK

Rok VI

Gorzów n/W., niedziela 12 sierpnia 1951 r.

Nr 29



WNIEBOWZIECIE

MARYO!

Patrzysz na mnie z ołtarza
Promiennymi oczyma
jak zorza;
Jasna jesteś i piękna
I dobra ogromnie.
Cała miłością tchniesz
Przeczysta Matko Boża
I jak matka najczulsza
Uśmiechasz się do mnie.

Patrzysz na mnie uważnie,
A ja u stóp Twoich
takam mała,
Jak dziecię co na matkę
Podnosi oczęta.
Tyś Matką moją, przecież
Dał mi Cię za Matkę
Syn Twój wtedy pod krzyżem,
pamiętasz?...

K. W.

Z SZUMEM WIATRU

Ludzie w żydowskim kraju byli smutni po odejściu Pana Jezusa. W dniu, w którym opuścił ziemię zaprowadził Swą Matkę i uczeni na wzgórze, pożegnał się z nimi i pobłogosławił ich. Potem uniósł się lekko w powietrzu i wstąpił do jasnego nieba.

Apostołowie ogromnie za Nim tęsknili. Zeszli się z Matką Boską w obszernej izbie, w której jedli ostatni raz wieczerzę z Jej Synem i tam wspominali Go z żalnością i wielkim wzruszeniem.

— Jakże byliśmy szczęśliwi, gdy chodził po ziemi — mówili — jak dobrze było żyć z Nim i mieć Go zawsze przy sobie... Żebyśmy tylko zdołali służyć naszemu Panu i wszystkich ludzi do nieba prowadzić — myśleli zatrwożeni.

Otoczyli gromadą Matkę Boską, która spojrzała na nich z miłością, jak matka na swe dzieci. Była o nich spokojna. Jezus obiecał apostołom, że przyśle Pocieszyciela z nieba, Marya wiedziała więc, że Bóg dopomoże im w pracy i nigdy ich nie opuści.

Tymczasem wokoło domu, w którym gromadzili się uczniowie poczynała szaleć niezwykła burza. Zerwał się wiatr. Spadł jak gdyby z nieba. Zahuczał, zaszumiał, wdarł się do mieszkania, wionął po całej izbie.

Apostołowie spojrzeli na siebie zdumieni.

— Skąd taki wichur? Przed chwilą słońce świeciło i niebo było bez chmurki, a teraz szum się zewsząd rozlega? Co to za jakieś dziwy?

Zwrócili się pytająco do Piotra, który był naznaczony, jako Jezusowy zastępca, ale on stał wśród swoich towarzyszy zdumiony i tak jak oni nie wiedział co zaszło...

Szum nie ustawał. Wichur wzmógł się, powiększył, spadł prędko na ziemię, zda się, że obejmował świat cały...

I raptem stał się cud.

W izbie ukazały się światelka, niby lecące gwiazdy i każde z nich błyszczało nad głową jednego z apostołów. Jaśniały podobnie do rozdwojonych płomyków lśniąć się promienicie. Obecni padli na kolana. Nad ich czołem migotały ognie a w sercu gorzała nowa radość, wielka i święta odwaga.

Zjawienie się cudownych światel zmieniło w jednej chwili serca Apostołów. Nie obawiali się już niczego. Duch święty zstąpił na nich w poszumie cudownego wiatru, oświecił ich i przypomniał wszystko czego nauczył Chrystus. To właśnie obiecany Pocieszyciel umocnił zgromadzonych tu, tęskniących i zatrwożonych ludzi.

Apostołowie dziękowali Bogu kłęcząc pośrodku izby. Gdy się tak społem modlili szum wiatru stał, ginął, przycichał, odchodził w stronę nieba...

Jeszcze chwilką, płomyki pogasły jakgdy-

by zdmuchnięte i oto w wielkiej nroczej izbie znów tak cicho jak przedtem.

Wówczas Matka Boska powstała z kłęczek i wyciągnęła błogosławiące ręce nie tylko do Apostołów, lecz do całego świata. Oni zaś, Boże sługi pomyśleli chyłać się do Jej stóp.

— Uczynim wszystko, co nam przykazał Twój Syn. Pójdziemy w świat, będziemy chrzczyć i nauczać ludzi. Duch Święty nas oświeci a Ty Matko, z pewnością nas nie opuścisz.

Byli szczęśliwi i ufni. Nie czuli się osamotnieni.

Pia Górka.

DZWONEK

Odgłos grzmotu wstrząsa powietrzem, przerywa uśpioną ciszę południa. Poruszają się niespokojnie ptaki na gałęziach drzew, kołyszają trawy i liście pod nagłym smaganiem wichury. Ulewne strugi deszczu przysłaniają świat.

Skulają się, przygarniają do siebie w gnieździe młodziutki dzwonek rozpaczliwym zawodzeniem małych gardziołek, dając wyraz przerażeniu z niewidzianego dotychczas zjawiska. Wokoło gną się, padają na ziemię gałęzie. Jakby zły duch wieje nad lasem, rozpętuje burzę w gniewie swym i nienawiści.

Coraz gwałtowniej, szaleńczo zawodzi wichura. Pod jej naporem i gałąz z gniazdem dzwonek gnie się powoli. Słyszą ptaszki wyraźnie jej złowrogi trzask. Jeszcze tylko jedna chwila, druga, gałąź odchyła się od drzewa. Coraz niżej skłania się ku ziemi, gniazdo chwiać się poczyna Ulewa przysłania oczy ptaszek, przejmuje na wskroś przemoczone piórka. Dygocą biedne dzwoneki z grozy położenia.

Jeden najmłodszy nie może dalej utrzymać równowagi, najmniejszy jest, najslabszy, nie czuje się już więcej na siłach odierać obronnych ruchów braciszków. Nieświadomie wypychają go coraz to więcej ku brzegowi gniazda. I czuje, że traci grunt pod nogami, leci przed siebie — zawisa w powietrzu. Rozwija skrzydełka. Zbyt wątle są. W tych warunkach nie sprostają lataniu. Bezwolnego porywa wichur za sobą. Niesie z zawrotną szybkością. Dokąd? Co się z nim stanie? Czy zginie marnie gdzieś rozbity? Struchlały nie śmie zadać sobie tego pytania. Leci przed siebie siłą bezwładu. Przycicha nawałnica: krople deszczu padają coraz wolniej — słońce kolorami tęczy przeświecać w nich poczyna.

Można już podjąć lot własnymi siłami, przeciwstawić się słabnącemu wichrowi. W

niewielkiej oddali zieleni się grupa drzew. Tam osiąść i odpocząć można.

Zerwane ponownie do lotu skrzydełka. Jedno podnosi się z trudem, sprawia ból. To od uderzenia w przelocie o drzewo. Z wysiłkiem ptaszek podejmuje fruwanie. Musi dotrzeć do upatrzonego celu. A co się stanie dalej? Do swoich nie wróci — nie zobaczy ich już nigdy.

Liście łagodnym poszumem przyjmują osiadającego między nimi dzwonek, jakżesz jest zmęczony. Zaledwie zdołał dolecieć do drzewa. Zasnute mgłą, bystre zazwyczaj czarne perełki oczu rozglądają się wokoło. Znajduje się w obszernym ładnie utrzymanym ogrodzie. Z ponad zieleni wystrzelają w niebo wieże kościoła. Z jednej strony wyłaniają się z niej z pośród jasnych ścian szyby okien. Plebania.

Kilka ptasząt świergoli wesoło między listowiem nad główką dzwonek. Brak mu nawet na razie ochoty dołączyć do wtóru swój głos zapoznać z niemi. Może niebawem uda się poprosić, by który z nich postarał się dla niego o jakieś pożywienie. Skaleczone skrzydełko nie pozwoli na poszukiwania a jeśli nie znajdzie się jakiś ratunek zginie z głodu.

Nieoczekiwane, nagłe dotknięcie ogarnia go przejmującym drżeniem a choć delikatne ono, serduszko ptaszyny bije na trwogę. Tymczasem ręka proboszcza zdejmuje go z gałęzi. Dobra twarz jego pochyla się nad ptaszkiem z uśmiechem, palce ostrożnie wodzą po zranionym skrzydełku. Trzeba się postarać wyleczyć. Może pofrunie sobie jeszcze. Chodź biedaku. W jasnym pokoju plebanii znajduje się ziarno i świeża woda do picia. Dzwonek zbiera je z muszli nachylniej ku sobie dłoni. Przystaje się zwolna trzepotać przerażone serduszko.

Niemam ja oo z tobą poczynać, ptaszyno. Pojdiesz sobie do dobrych ludzi, którzy ci krzywdy nie zrobią. I w małej klatce wędruje dzwonek przez ulice miasta, spłoszony, zatulony w kącik przed jego ruchem i gwarem. Wzbiera w zamknięciu tęsknota za urokiem lasu, swobodą. O czyż zawsze pozostanie już w niewoli?

Niestety tak się stać miało, bo skrzydełko nie dało się nigdy w zupełności wyleczyć, o lataniu nawet myśleć nie można. Nie jest ona wszakże zbyt przykra ani uciążliwa. Przeciwnie. Dzwonek znajduje w niej nawet wiele zadowolenia, mógł wszak zginąć marnie zmieciony zawieruchą. Oto powitany miłym, radosnym uśmiechem dobrej pani i pieśczośliwie przytulony do twarzy umieszczony zostaje w wygodnej klatce, gdzie przebywają już dwa kanarki. Tuż obok w drugiej zamieszkują dwa dalsze.

I wiedzie sobie wspólne życie ptasia gromadka. Dzwonek wzrostem swym i upierzeniem odbija od delikatnego puchu ziocistych kanarków. Przewodzą nad niemi, bo

W I E T R Z Y K

Wietrzyk poranny strząsa z traw rosy,
Biegnie przez pole, nagina kłosy.

Wietrzyk jak małe chłopię swawolne,
Biegnie ze śmiechem przez ścieżki polne.

Biegnie przez łączkę, przez leśne dróżki,
Goni motyle i płoszy muszki.

Po drzewach skacze, płacze gałązki,
Dokucza Kasi co pasie gąski.

I białe chusty zrzuca tam z płota —
Oj, wietrzyk letni toż to pustota.

Przez dzień nabiega się on dowoli,
Po drogach tańczy, z dziatwą swawoli.

A gdy słońeczko za borem zgaśnie,
To wtedy wietrzyk w lesie też zaśnie.

M. CH. S.

też on dzwonek, dotąd niezależny leśny dzwonek tyle ma do powiedzenia z dziwów świata swym towarzysom urodzonym w niewoli. Czasem za jakimś przeblyskiem słońca, czy dolatującym skądś zapachem kwiatów budzą się wspomnienia, rozwiewają jednakże szybko w świergotliwym szczebiocie zetkniętych lesem ptasząt. I coraz częściej nadchodzą chwile, że czuje się zupełnie szczęśliwy. Wezbrane uczucie wyzwala wówczas metalicznym dźwiękiem swego głosu, wydzwaniającym wokół ku uśmiechającym się bezwiednie słuchaczom myśl o swobodnej doli wśród wolnej przestrzeni lasów i pól.



Budujemy ogród

— mile zajęcie dziewcząt na kolonii.



Kochane dzieci!

Właściwie nie wiem o czym wam dzisiaj pisać, bo tyle tego wszystkiego, że nie wiadomo od czego rozpocząć. Oczywiście dziś nie odpisuję na żaden list, poprostu dlatego, że nie ma mnie w Redakcji. Z niektórymi dziećmi Naszej Rodzinki bujam sobie po Bożym świecie. Jesteśmy na Św. Krzyżu, w Łysych Górach. I pisząc ten list do was mam przed sobą wspaniałą panoramę kieleckiego krajobrazu. Za drzwiami mojej celi hałasują dzieci a za oknem huczy wiatr. Spieszę się, bo zapachy obiadowe wałęsają się po korytarzu i niedługo będzie czas na apel przed obiadem. Popołudniu znów mamny wyruszyć w niziny na przechadzkę. Więc przepraszam, że tak mało piszę ale same widzicie, że kto miałby nerwy w tym rozgardiaszu. Za to napiszę do całej Rodzinki długi, bardzo długi list, gdy wrócę do Gorzowa. A teraz załączam pozdrowienia dla całej Rodzinki od Zdychy Kołodennej (wczoraj bardzo ładnie przedstawiała przy ognisku), Grocholskiej Zofii, Banickiej Olgi, Kozak Bożeny, Rurkowskiej Ireny, Rurkowskiej Janiny, Laskowskiej Cecylii, Berzowskiej Łucji, Beby Reginy, Beby Krystyny, Łabińskiej Barbary, Hrynczyszyn Marii, Lipkówny Joanny, Wójtowicz Władysława, Urbańskiego Tadeusza, Tatarewicz Wacława, Mróz Bogdana, Kardaś Janusza, Nowackiego Stanisława, Sosny Jerzego, Laskowskiego Jerzego, Włodarczyk Ryszarda, Szlachetki Bolesława oraz od wszystkich dzieci z Klenicy i Gorzowa, których jest tu liczba niemała. Wszyscy pozdrawiają Rodzinkę Małego Tygodnika. Wiedzie im się tu dobrze, apetyty mają wyborne, humor mało nawala.

Do widzenia kochane dzieci.

W intencji naszej całej Rodzinki zostanie odprawiona Msza św. w święto Wniebożenia Matki Boskiej. Módlmy się wzajemnie za siebie.

Pa, pa, buziaki dwa, do widzenia!

Wasz Przyjaciel.

KTO Z WAS ZGADNIE?

I.

Pan W. zapomniał ile ma lat, pamięta jednak, że 25 lat temu był dwukrotnie star-

szy od swego syna, który obecnie jest w wieku ojca z przed ćwierćwiecza. Ile ma lat obecnie pan W.?

II.

Przez „B“ drzewo, przez „Ł“ do strzelania służy, przez „Z“ owad, przez „H“ hałas duży.

III.

W koszuli się rodzi
A nago chodzi.
Co to?

Podajemy rozwiązanie zagadek z Nr 21:
1) kaczki, 2) sosna, 3) kotwica, 4) noc i dzień.



— Jak ci dam dwa króliki — pyta nauczyciel Janka — a do tego twój ojciec da ci dwa, to ile będziesz miał razem?

— Pięć królików, proszę pana.

— Jakto?

— A bo ja już mam w domu jednego królika.

Nie umie.

— Dlaczego tak hałasujesz? Czy nie umiesz się bawić bez krzyków? — pyta tatuś Michasia. — Popatrz jaki grzeczny jest kotek.

— No tak, tatusiu, ale kotek nie umie krzyczeć.

* * *

— Janeczku uważaj, czy nie ma w twoim jabłuszku robaka — mówi ciocia — bo możesz go łatwo zjeść.

— A to niech robak sobie uważa — odpowiada Janeczek.

Na lekcji.

— Ile godzin ma dzień? — pyta nauczyciel.

Uczeń: — 23 godziny.

Nauczyciel: — Dwadzieścia trzy godziny? A to dlaczego?

Uczeń: — Bo pan nauczyciel przecież sam mówił, że dzień jest już krótszy o godzinę.

* * *

— Janeczku zamknij okno, bo na ulicy zimno — mówi mamusia.

— A jak otworzę drzwi to na ulicy będzie ciepło?

* * *

— Czym ty będziesz, pyta zirytowany nauczyciel leniwego Piotrusia.

— Lotnikiem, panie nauczycielu.

— A latałeś już kiedy?

— Owszem. Już nawet kilka razy wyleciałem z różnych szkół.